



Mirosław Derecki
ŚRODOWISKO LUBELSKIE.
PIERWSZE SPOTKANIE Z „KAMENĄ”

W krąg lubelskiego życia kulturalnego wkroczyłem na przełomie października i listopada 1954 r., a stało się to za sprawą wiersza „Pokój” Jarosława Iwaszkiewicza, który polecono mi wyrecytować na wojewódzkiej akademii z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej. Razem ze mną przygotowywało się do występu kilkoro innych studentów, członków Zespołu Dramatycznego UMCS, prowadzonego przez młodą aktorkę Teatru im. Osterwy, czarnowłosą i ciemnooką Jadwigę Grossman. Próby odbywały się w siedzibie Zakładu Filozofii UMCS, mieszczącego się wówczas przy ulicy Skłodowskiej 2, na pierwszym piętrze, nad dzisiejszą siedzibą redakcji „Kamień”. Reżyserii i przygotowania naszego występu podjął się, na spółkę z Wisią Grossman, kierownik zakładu - profesor Narcyz Łubnicki. Nigdy potem nie słyszałem o teatralnych zainteresowaniach profesora Łubnickiego, ale wtedy były one faktem. Niestety, reżyserska para reprezentowała zupełnie odmienne poglądy na sztukę recytacji, i to właśnie ja przede wszystkim padłem tego ofiarą.

Profesor Łubnicki był wyznawcą „starej szkoły” - sięgania do onomatopeizacji, wyraźnego znaczenia nastrojów i w ogóle walenia „z grubej rury” na sposób tych dawnych mistrzów sceny, w których ustach „przewalały się nawałnice i grzmiały gromy” lub „śpiewnie szemrały strumyki”. Grossmanówna - niedawna absolwentka warszawskiej szkoły dramatycznej i asystentka Zelwerowicza - wyznawała natomiast metodę Stanisławskiego, odwołującą się do przeżywania. Teraz niech sobie, kto chce, podłoży obie te metody pod słowa wiersza Iwaszkiewicza:

Nie spłynie na nas jak gołębica

Ani nadejdzie jako pora roku

Ani zahuczy jak błyskawica -

Na ziemi Pokój...

Na przemian więc grzmiałem i kwiliłem lub też sięgałem „do głębin własnego odczucia i przeżywania”, a za każdym razem po zakończeniu recytacji dwójka reżyserów popatrywała na siebie złym wzrokiem, a potem z ich ust słyszałem kolejno: „Nooo, taaak... Bardzo

dobrze... Tylko to trzeba powiedzieć zupełnie inaczej!” Próby stały się w końcu dla mnie torturą, a twórczość Iwaszkiewicza znienawidziłem na wiele lat. Ostatecznie, spocony z emocji, wykrzychałem owe wołanie o pokój ze sceny Teatru im. Osterwy, gdzie odbywała się Akademia Październikowa, mieszając metodę Stanisławskiego z metodą tradycyjną. W sumie recytacja wypadła głośno, bojowo i z „wycuciem sytuacji”, a o to przecież najbardziej organizatorom chodziło. Natomiast swoisty zgrzyt wywołał występ Romy Piechówny, studentki historii, która recytowała jakiś bardzo liryczny i smutny fragment z „Beniowskiego” czy też z „Kwiatów polskich”. Powiedziała go naprawdę pięknie, ale po akademii jeden z ówczesnych partyjnych wodzów województwa czynił ostre wyrzuty Grossmanówniej, że Roma zepsuła cały nastrój i wydźwięk „części artystycznej”, który miał się wyrażać zgodnym i zdecydowanym marszem „ku”.

Obsługiwanie „części artystycznych” różnych ważnych imprez w Lublinie przez zespoły studenckie weszło w życie gdzieś na przełomie lat 1953 /1954. Było to zjawisko zupełnie zrozumiałe. Zakończył się właśnie pierwszy, „bohaterski” okres życia studenckiego: skończyła się powojenna prowizorka, zniknęli studenci pod wąsem, którzy dokańczali przedwojenne studia lub nadrabiali lata stracone podczas okupacji. Nikt już nie chodził w znoszonych sortach mundurowych i nikt nie bawił się w czasie zdawania egzaminu własnym rewolwerem, w celu wywarcia odpowiedniego wrażenia na profesorze. Odplynęły z murów uniwersyteckich resztki byłych żołnierzy, dipisów, partyzantów i powstańców warszawskich. Teraz katedry i zakłady funkcjonowały już normalnie - tyle, że w większości w fatalnych warunkach lokalowych – a studenci przychodzący na I rok studiów mieli po lat osiemnaście.

Pracy było na uczelniach bardzo dużo, a na dodatek obowiązywała tzw. „socjalistyczna dyscyplina studiów” i trzy nieusprawiedliwione nieobecności, nawet na wykładach, mogły spowodować skreślenie z listy studentów. Ale zostawało jednak jeszcze trochę czasu na zajmowanie się sportem lub pracą artystyczną, na którą bardzo mocno zaczęło stawiać Zrzeszenie Studentów Polskich. Dzisiejsze Miasteczko Uniwersyteckie składało się wówczas tylko z Bloków: „A”, „B” i „C”, tonących w czasie niepogody w bajorach gliniastego błota, a reszta domów akademickich rozrzucana była po całym mieście po dawnych hotelach lub starych czynszowych kamienicach. Jednak może właśnie dlatego młodzież skupiała się tym chętniej w zespołach artystycznych lub w sekcjach sportowych. Kiedy w 1954 r. rozpoczynałem w Lublinie „normalne” studia (w roku akademickim 1953/54 byłem wolnym słuchaczem na Akademii Medycznej), wszystkie istniejące studenckie zespoły artystyczne liczyły dopiero po roku lub najwyżej po dwa lata istnienia i były oczkiem w głowie miejscowych władz, jako symbol „tężyzny duchowej” i „zdrowia moralnego” tej „naszej kochanej przyszłości” czyli nas - młodzieży.

Przede wszystkim - działały chóry. Doskonale wypadają, wykonując na trzy lub cztery głosy popularne pieśni masowe „Na prawo most, na lewo most”, „Jak przygoda, to tylko w Warszawie”, „Hej, wy konie rumaki stalowe” albo „Suliko”. Sięgano też pełną piersią po repertuar ludowy, wzorując się na bardzo już popularnym „Mazowszu”. Zapamiętałem z tamtych czasów chór Akademii Medycznej, ale przede wszystkim - młody Chór Wydziału Rolnego UMCS, pracujący pod batutą studenta tego wydziału, Bogusława Szota. Od czasu do czasu dawał także znać o swym istnieniu Chór Męski Wydziału Weterynarii UMCS. Był jednak słabo zgrany. Jedni tłumaczyli to nawałem nauki, która nie pozwalała na częste próby, inni - zbyt wielką liczbą w owym zespole sznaps-barytonów i popij-basów. W 1953 r. powstał Zespół Taneczny UMCS, założony przez młodego wychowawcę WF, Stanisława Leszczyńskiego. Działał na razie bez chóru i orkiestry, ale cieszył się dużym zainteresowaniem wśród miłośników tańca ludowego. Zaś szczególnym aplauzem studenterii - od momentu, gdy podczas jednego z występów, po inauguracyjnym rok akademicki natchnionym wykładzie prof. Gabriela Brzęka na temat osiągnięć współczesnej biologii, jednej z tancerek pękła w tańcu gumka u spódnicy. Na Akademii Medycznej znany był dobrze Zespół Muzyczny (gitara, banjo, kontrabas, akordeon, perkusja), w którym rej wodzili dwaj medycy na ukończeniu - Zdzisław Matuszewicz i Jan Wolski. Grali do tańca na zabawach studenckich, a takie różne kawałki koncertowe, jak: „Hen za górą jest granica, przy granicy jest strażnica” albo „Samotna harmonia” czy „Ech, ta droga”. Matuszewicz specjalizował się w śpiewaniu przy akompaniamencie gitary „błotnych” piosenek rosyjskich (ale tylko w zaufanym gronie) w rodzaju „Ciplonka”, „Murki”, „Sidiell my na kryszce” itp. Wkrótce, po przyjscia na Akademię Medyczną Romana Trawińskiego zespół ten przekształcił się w ulubioną przez środowisko studenckie pierwszą lubelską grupą jazzową.

Na KUL-u działał chór mieszany, prowadzony jakiś czas przez obecnego lubelskiego adwokata, Leszka Hoffmana. Przede wszystkim jednak wyróżniał się Teatr Akademicki KUL, założony w 1952 r. z inicjatywy dzisiejszego prorektora tej uczelni, Stefana Sawickiego, a pozostający pod opieką artystyczną, i w ogóle opieką serdeczną, prof. Ireny Sławińskiej, zwanej powszechnie „Ciotką”. Ten zespół bardzo szybko zdecydował się na wyraźny profil teatru idącego w kierunku poetyckim. Wreszcie - na UMCS działał Zespół Dramatyczny pod kierunkiem Jadwigi Grossman.

Trafiłem do niego „z ogłoszenia”. Któregoś dnia, na początku roku akademickiego 1954/55, zobaczyłem przypięte na drzwiach wejściowych do prosektorium Katedry Anatomii Porównawczej Zwierząt - ogłoszenie o „naborze” chętnych do „kółka dramatycznego”. Podpisane było przez moją starszą koleżanką z Wydziału Weterynarii, przystojną wysoką blondynkę Wandę Randasówną, działaczkę Zrzeszenia Studentów Polskich. Ponieważ w latach szkolnych należałem do zespołu dramatycznego, a takie dlatego, że bardzo mi się

podobała koleżanka Randasówna, poszedłem do Rady Okręgowej ZSP, aby zasięgnąć bliższych informacji.

Rada Okręgowa mieściła się w początkach lat pięćdziesiątych w obskurnej oficynie kamienicy przy ul. Królewskiej 15. Z klatki schodowej na pierwszym piętrze wchodziło się na lewo do akademickiej przychodni zdrowia, prowadzonej przez niezapomnianego dr. Kozaka, a na prawo - do „Rady”. Całość tej „instytucji” urzędowała z powodzeniem w dwóch pokojach z kuchnią. Z tym, że w mniejszym pokoiku, na prawo od kuchni - pełniącej rolę sekretariatu - mieszkał z żoną przewodniczący RO ZSP, Zdzisław. Andruszkiewicz, zwany po prostu „Zdzichem”, dzisiaj – prezes Zarządu Głównego RSW „PRASA”. Z „sekretariatu” wkraczało się na wprost do wielkiego pokoju zastawionego biurkami, i to była „Rada Okręgowa”. Ukosem między dwoma oknami naprzeciw wejścia stało biurko przewodniczącego. Przy pozostałych zasiadali: Erwin Staniek - odpowiedzialny za sprawy kultury studenckiej i nieformalny zastępca Andruszkiewicza; student prawa - Jurek Wołoszyn, który prowadził finanse; Franek Piechota z Wydziału Rolnego prowadzący sprawy ekonomiczne Zrzeszenia; oraz Basia Kunicka, studentka prawa, działająca w Kole Przyjaciół ONZ. To chyba był cały urzędujący skład Rady Okręgowej, plus studentka maszynistka pracująca na wespół społecznie.

Po wielu latach, już jako dziennikarz, przeraziłem się, gdy wkroczywszy do obszernych pomieszczeń którejś kolejnej Rady Okręgowej, wpadłem w wir sekretarek, intercomów, centralek telefonicznych i antyszambrów, w których czekali spłoszeni studenci - petenci. Było to wszystko niby bardzo fajne i przypominało jakieś ministerstwo, tylko, że ja tam się czułem zdecydowanie nieswojo.

Zespół Dramatyczny UMCS powstał w roku 1952. Założył go student prawa, Jerzy Litwin. Po paru miesiącach wystawiono sztukę Adama Tarna „Zwykła sprawa”. Ale chyba za prawdziwe narodziny Zespołu należy uznać rok akademicki 1953/54, kiedy jego kierownictwo objęła Jadwiga Grossmanówna.

Był to typ artysty-społecznika. Przystojna, o oryginalnej południowej urodzie, nie poprzestawała na występach w teatrze, ale była także radną Wojewódzkiej Rady Narodowej, a w 1955 czy na początku 1956 r. objęła kierownictwo Wojewódzkiego Wydziału Kultury, rozstając się nawet na pewien czas ze sceną. Wystawialiśmy pod jej kierownictwem sztuki i przygotowywaliśmy wieczory poezji. Ale przede wszystkim byliśmy czymś w rodzaju „szkółki teatralnej”. Dla Grossmanówny końcowy efekt pracy rocznej z „jej” studentami nie sprowadzał się do „premiery”, lecz przede wszystkim miało to być zamknięcie pewnego odcinka wiedzy o teatrze, literaturze i sztuce. W rozumieniu studenckich „czynników” próby może i szły w zespole kulawo, ale były to wszak głównie zebrania dyskusyjne, na których mówiono na temat ekspresji aktorskiej, ćwiczone dykcję i głos, dokonywano analizy dzieła

dramatycznego. Pani Wisia uczyła nas teatralnego i literackiego myślenia, rozbudzała wrażliwość artystyczną, i pewnie dlatego sporo osób z tej grupy poświęciło się teatrowi, literaturze, dziennikarstwu. Olek Gabrusiewicz trafił po kilku latach do „Kamenu”, Staszek Szreniawski i Wojtek Kaczanowski zostali aktorami dramatycznymi, Kazio Lutomski - aktorem i reżyserem teatru lalkowego, Hance Czarnieckiej – niezwykle utalentowanej - tylko stan zdrowia przeszkodził w karierze scenicznej. Szereg innych osób pracowało lub nadal pracuje w teatralnym ruchu amatorskim.

W roku 1954 Lublin był miastem cichym i słabo oświetlonym, na wyłożonych granitową kostką jezdniach ulic rozlegał się częściej klekot dorożek konnych niż szum samochodów. Bujne życie artystyczne, które krzewiło się tutaj tak gorąco w pierwszych miesiącach i latach po wyzwoleniu - odpłynęło do Warszawy, Łodzi, Krakowa. Wychodził tylko jeden dziennik, działał teatr zawodowy.

Właśnie wtedy, późną jesienią 1954 r., gdy ślęczałem nad preparatami anatomicznymi, odczynnikami chemicznymi i gdy starałem się znaleźć dla tych zajęć przeciwwagę na deskach amatorskiej sceny studenckiej, wpadł mi po raz pierwszy w życia w ręce numer pisma, które nosiło tytuł „Kamena. Kwartalnik społeczno-literacki”. Było to właściwie dość grube tomisko, wydawnictwo broszurowe formatu A-4, ujęte w czerwoną kartonową okładkę, na której widniał rysunek lubelskiej Bramy Krakowskiej. Numer poświęcono jubileuszowi dziesięciolecia Polski Ludowej. Był to numer potrójny, liczył 160 stron druku. Wypełniały go w przeważającej mierze wspomnienia literatów, aktorów, artystów, dziennikarzy i działaczy politycznych z okresu PKWN. Otwierało ten numer wielkie zdjęcie Bolesława Bieruta i tekst Manifestu Lipcowego, a następnie szedł fragment książki Jerzego Putramenta, wiersz Stanisława Jerzego Leca, potem utwory Zbigniewa Jakubika, Konrada Bielskiego, Wacława Gralewskiego, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Juliusza Kleinera, Stanisława Piętaka, Juliana Przybosia, Jarosława Iwaszkiewicza, Anny Jakubiszyn, Marii Bechczyc-Rudnickiej, Tadeusza Chabrosa, Włodzimierza Chełmickiego, Zygmunta Mikulskiego, Konrada Eberhardta, Anny Kamińskiej, Józefa Nikodema Kłosowskiego i wielu innych. Przeczytałem z zainteresowaniem owe wspomnienia, ale - poza kilkoma nazwiskami - z ich autorami stykałem się po raz pierwszy w życiu. Nic mi nie mówiły nazwiska redaktorów naczelnych: Kazimierza Andrzeja Jaworskiego i Marii Bechczyc-Rudnickiej, a nazwisko Konrada Bielskiego w stopce redakcyjnej przypomniało mi zasłyszaną od stryja adwokata z Lubartowa opinię, że to doskonały adwokat-karnik. Nic nie wiedziałem o okresie chełmskim „Kamenu”, o jej powojennym reaktywowaniu przez KAJ-a i o późniejszej samotnej walce, jaką toczył z uporem i zaciętością o utrzymanie tytułu, ani o trzyletniej przerwie w wydawaniu pisma, które teraz się odradzało. Przeczytałem „Kamenu” i odłożyłem ją na półkę. Nie przypuszczałem nawet przez chwilę, że związę się z tym pismem na wiele, wiele lat.

Pierwodruk: „Kamen”, 1983, nr 2, s.10.